Nr. 113. 24 h.

BIBL... WSZECHNA



Józef Korzeniowski.

PIERWEJ MAMA

Komedya w 1 akcie.



Każdy tomik można osobno nabyć.

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA
W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.

Biblioteka Powsze‿hna

Każdy pojedyńczy numer 24 h.

Każdy TOMIK można osobno nabyć.

Dotychczas wyszły następujące numera:

1. Mickiewicz, *Konrad Wallenrod.*
2—3. Franklin, *Droga do majątku.*
4. Morgenbesser, *Zwycięstwo książki.*
5. Grillparzer, *Klasztor pod Sandom.*
6. Ibsen, *Upiory.*
7. Żółkowski, *Anegdoty i fraszki humor.*
8—9. Szekspir, *Romeo i Julia.*
10. Stinde, *Mituś i Matuś.*
11. Zahajkiewicz, *Powinszowania* wyd. 3.
12. Molière, *Grzegorz Fafuła.*
1… Chodźko, *Obrazy litewskie.* tom I.
1…—15. Cicero, *Mowy przeciw Katylinie.*
16. Maupassant, *Nowelle.* t. I.
17. Klonowicz, *Ziemie Czerwonej Rusi.*
18—19. Ibsen, *Wróg ludu.*
20. Cycero, *Mowa za prawem Maniliusz.*
…1. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. I.
22. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. II.
23. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. III.
24—27. Goethe, *Faust.*
28. Tennyson, *Enoch Arden.*
29. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. IV.
30. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. V.
31. Morawski, *Dworzec mego dziadka.*
32. Wilkoński, *Ramoty i ramotki.* t. VI.
33—34. Feldmann, *Jak w życiu.* Nowele.
35—38. M. M., *Czy mówisz po francusku?* Praktyczny przewodnik do nauczenia się języka francuskiego.
39—42. M. M., *Czy mówisz po niemiecku?* Praktyczny przewodnik do nauczenia się języka niemieckiego.
…. Chodźko, *Obrazy litewskie.* tom II.
…—45. Abrahamowicz i Zieliński, *Dobry N…* Komedya.
…—47. Pobratymiec, *Urzeczona.* Nowele.
…—49. St. Pierre, *Paweł i Wirginia.*
… Cycero, *Kato starszy.*
… Cycero, *Leliusz czyli o przyjaźni.*
…—53. Mantegazza, *Wiek nerwowy.*
… Kaczorowski, *Poradnik dla tańcząc.*
… Krasiński. *Nieboska komedya.*
…—57. Körner, *Zriny.* Tragedya.
…—60. Hofmanowa, *Dziennik Franciszki Krasińskiej.* Powieść.
…—62. Szamski, *Victoria!* Powieść.
… Wirgiliusz, *Bukoliki.*
64—65. Swift, *Podróże Gullivera.* t. I.
66. Byron, *Więzień Czyllonu.*
67—68. Swift, *Podróże Gullivera.* t. II.
69—70. Brodziński, *O klasyczności i romantyczności.*
71—72. Grillparzer, *Matka rodu Dobratyńskich.*
73. Syrokomla, *Urodzony Jan Dęboróg.*
74—75. Lessing, *Natan Mędrzec.*
76—77. Fredro, *Zemsta.*
78. Fredro, *Pan Geldhab.*
79—80. Fredro, *Śluby panieńskie.*
81—82. Swift, *Podróże Gulli…* …II.
83—86. Rawita, *Błędne ogniki.* Powieść.
87. Halek, *Wieczorne pieśni.*
88. Cycero, *Mowa za poetą Archiasem.*
89. Zacharyasiewicz, *Nieboszczyk w kłopotach.*
90. Krasiński, *Noc letnia.*
91—92. Fredro, *Damy i huzary.*
93—95. Krasiński, *Irydyon.*
96—98. Zipper, *Lutnia i miecz.* Życie Szandora Petofiego.
99—100. Słowacki, *Balladyna.*
101. Korzeniowski, *Mnich.*
102. Korzeniowski, *Karpaccy …*
103—104. Swift, *Podróże Gulli…*
105—106. Lermontow, *…*
107. Urbański, *Z za kulis i ze świata.* t. I.
108—111. Korzeniowski, *Kollokacya.*
112. Romanowski, *Dziewczę z Sącza.*
113. Korzeniowski, *Pierwej mama.*
114. Malczewski, *Marya.*
115—116. Walewski, *Hulaj dusza!*
117—120. Korzeniowski, *Spekulant.*
121. Goethe, *Ifigenia w Taurydzie.*
122. Urbański, *Z za kulis i ze świata.* t. II.
123—128. *Niedola Nibelungów.*
129—131. Rawita, *B…rowie* …
132. Gresset, *Vert-Vert* czyli *klasztornego chowania.*
133—134. Korzeniowski, *Żydzi.* Komed.
135—136. Kryczyński, *Zamek w Podhorcach,* z 3 ilustr.
137—138. Cycero, *Mowa za S. Roscyuszem z Ameryi.*
139—140. Fredro, *Pan Jowialski.* Kom.

JÓZEF KORZENIOWSKI

PIERWEJ MAMA.

Komedya w jednym akcie.

ZŁOCZÓW
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

OSOBY:

PUŁKOWNIKOWA.
ZOFIA, jej córka.
MARSZAŁEK.
STANISŁAW, jego siostrzeniec.
LOKAJ.

Scena we wsi pułkownikowej na Wołyniu.

SCENA I.

Teatr wyobraża pokój bawialny pułkownikowej, z lewej strony widzów drzwi do gabinetu pułkownikowej, z prawej do pokoju Zofii, w środku wchodowe. Pułkownikowa gustownie ubrana, stoi przed dużem zwierciadłem, poprawiając czepeczek -- potem odchodzi zasmucona.

Pułkownikowa, Zofia, wychodząc ze swego pokoju.

Zofia. Otóż macie! Mama znowu smutna i zamyślona. Mamo! mamo! doprawdy, że się gniewać będę, jeżeli mama nie przestanie. Cóż to znowu za dziwna tęsknota?

Pułkown. całuje ją w czoło. Tak ci się zdało, moja Zosiu! Widzisz, jakem się wystroiła. Czyż to oznacza smutek?

Zofia. To pocóż się tak zamyślać? Przynajmniej dziś mama powinna być weselsza.

Pułkown. Czemuż to dziś?

Zofia przypatrując się. Temu, że mama dziś doprawdy taka śliczna, że aż miło! Bierze ją wpół Co to za figurka! jak ta suknia leży! a jak cze-

peczek do twarzy! O! moja mamo! żebym ja była mężczyzną, to kto wie?

Pułkown. Co kto wie? *Siada.*

Zofia. Najprzód zakochałabym się w mamie, a potem upadłszy do nóg, nie wstałabym dopóty, pókiby mama nie dała słowa, że będzie moją żoną.

Pułkown. *nieznacznie pogiądając w zwierciadło.* Z tego byłoby to, że najprzód miałabyś starą żonę, a potem pasierbicę swywolną i niedorzeczną, która plecie jak na mękach.

Zofia. Już co się tyczy pasierbicy, to prawda, z niejby niewielką miał pociechę przyszły pan ojczym, bobym mu figle płatała i nie bardzo była posłuszna, a jeżeliby mamie najmniejszą przykrość zrobił, lub mamy nie kochał i nie uwielbiał, o! wówczas miałby się z pyszna! ale co się tyczy mamy, to doprawdy, że mama nie ma racyi. Bo najprzód mama jeszcze nie stara, powtóre dobra, rozumna i miła. *Przypatruje się z miłością.* A co śliczna, to śliczna, jak mamę kocham?

Pułkown. Przestań bzdurzyć, moja kochana.

Zofia. Nie, ale żart na stronę, czy mama doprawdy już nie myśli wyjść za mąż?

Pułkown. Wdowa, która ma dzieci i wychodzi drugi raz za mąż, dowodzi tylko, że jest złą matką, i że nie ma rozsądku.

Zofia. Wszakże mama ma tylko mnie jedną. A i ja już jestem w takim wieku, że lada dzień wyskoczę także na swój chleb.

Pułkown. Doprawdy? więc już masz pretendentów? dobrze i to wiedzieć.

Zofia. Oh! nie *mówię zupełnie*, żebym *miała* pretendentów — tego jeszcze dobrze nie wiem; bo juźci powiedziałabym mamie o tem dawno; ale mówię, że mam rok szesnasty, nie jestem sobie wielkie straszydło, niebardzom uboga i nazywam się nieźle, a to wszystko daje mi do myślenia, że niedługo posiedzę w domu. I cóż potem mama będzie robić sama samiuteńka? Jak o tem czasem wspomnę, to aż mi się płakać chce. W trzydziestym czwartym roku życia, kobiecie takiej jak mama, zostać pustelnicą? Nie, ja na to nigdy nie pozwolę — i jak mamę kocham, póty sama nie pójdę za mąż, póki mamy pierwej nie wydam.

Pułkown. Szalona dziewczyno!

Zofia. Już niech sobie mama mówi co chce, nazywa mię jak chce, niech sobie mama myśli co chce, a ja taki wystaram się mamie męża. Bo doprawdy, do czego to podobne, tak tęsknić i marnieć, jak mama? Siedzi mama na wsi, mało kogo przyjmuje, a co wzdycha mama, to doprawdy, nawet przez sen. Proszę nie ruszać ramionami, ja to widzę dobrze, że mamie potrzeba kogoś, kogoby mama mogła kochać, coby mamę kochał i szanował, coby mamie dogadzał, nad mamą czuwał. A któż to lepiej zrobi, jeśli nie mąż poczciwy i dobry? póki jeszcze ja jestem, to

pół biedy, ale jak mnie nie stanie? to mama nie będzie miała poczciwego słowa do kogo przemówić. Czyż to jest życie? proszę sobie tę samotność wybić z głowy; powiadam mamie, że ja na to nigdy nie pozwolę.

Pułkown. śmiejąc się. Ale nie wiedziałam prawdziwie, żeś ty taka rozumna i doświadczona.

Zofia. A widzi mama? małą rzecz mamie powiem. Dla kogo się mama naprzykład tak ślicznie ubrała? Czy do tych krzesełek i obrazów? Nie szkodaż tu zachodu i pracy? A gdyby był mąż... O! to wcale co innego. Ubierając się, myślałaby sobie mama: będzie kontent, tak mu się lepiej podobam, nie spodziewa się obaczyć mię w tej sukni, znajdzie mię jeszcze ładniejszą i t. d. A jeżeli takich myśli niema przy ubieraniu, to proszę mamy, nie lepszyż wygodny szlafroczek i stare trzewiki, które nie cisną, niż taka żenująca elegancya? Co? nie tak-że? niech mama sama powie!

Pułkown. Po części tak, ale powiedz mi, skąd tobie takie myśli przychodzą?

Zofia. Skąd? bo widzi mama, ja już prawie od roku o tem myślę i przemyśliwam, jakby to zrobić, aby mama była wesołą i szczęśliwą.

Pułkown. całuje ją. Moja ty droga! ja twojem szczęściem będę szcześliwą.

Zofia. Dziękuję mamie. Ja tak nie chcę; Bóg nam dał wszystko, aby każda z nas podwójnem

szczęściem była szczęśliwą: najprzód ja maminem a mama mojem, a potem mama osobno swojem własnem, i ja także swojem.

Pułkown. Nie można, widzę, ciebie przegadać.

Zofia. Bo mam racyą... A kiedy kto ma racyą, to mu można kazać milczeć, ale przegadać go nie można.

Pułkown. Dajmyż więc temu pokój.

Zofia. Dajmy pokój, ponieważ mama tak chce. Wszakże to mamie nic nie pomoże. Ja jednak i swoje myślę i com postanowiła, zrobię.

Pułkown. po chwili. Dawno już u nas nikt nie był.

Zofia. A widzi mama, że dawno — takie to skutki samotności.

Pułkown. z uśmiechem. Nawet pan Stanisław już o nas zapomniał.

Zofia czerwieniąc się. Prawda — i siostrzeniec i wujaszek dobrze się popisują — bo i marszałek także już dawno nie był.

Pułkown. spuszcza oczy i odwraca się. Prawda, że dawno.

Zofia. A, a, widzi mama, chciała mama, żebym ja raka upiekła, a tymczasem i mama coś, jak gdyby się zaczerwieniła.

Pułkown. odchodząc do okna. Dajże mi pokój!

Zofia. Czy wie mama, co mi przychodzi do głowy? Ta piękna sukienka, ten śliczny czepeczek, badaj czy to nie łapka?

Pułkown. Lepiejbyś zrobiła, żebyś poszła prze-

grać ten koncert Humla, który ci marszałek przysłał! Wychodzi do swego pokoju.

SCENA II.

Zofia sama. Oj! ta biedna mama! ledwiebym się nie założyła, że teraz siądzie sobie w swojem krześle, oprze śliczną główkę na ręku, i zacznie wzdychać i dumać, a łzy kap, kap na kolana. Dopókiż to tego będzie? nie mogę się wydziwić tym panom wdowcom i czterdziestoletnim kawalerom, których tu mamy ze czterech, że nie starają się zyskać względów mamy. Czy oni tak ograniczeni, że nie znają się na przymiotach takiej kobiety? czy ślepi, że ich nie widzą? czy może im to jeszcze mało i czego innego się chce? I podobno, że to ostatnie. Wszak zamiast starać się o względy mamy, oni tak jakoś na mnie spoglądają i koło mnie się kręcą. Jestże tu rozum? Czy to ja dla nich? Doprawdy taką mam czasem ochotę to tego, to owego potargać za siwe wąsy. Chce się szesnastu lat i wielkiego posagu? nic z tego! Ja już sobie mam swoje plany, bylem pierwej mamę widziała kontentą i szczęśliwą. Pan Stanisław...

SCENA III.

Zofia, Stanisław, który wszedł był cokolwiek dawniej, zbliża się z radością, ale cicho.

Stanisław biorąc rękę Zofii. Czy to pani o mnie mówi?

Zofia. Ach! jakeś mię pan nastraszył. Bodajże pana, któż tak wchodzi cichaczem na palcach i podsłuchuje, co kto myśli? — Czyż to tak ładnie?

Stanisław. O! gdybym ja mógł wiedzieć, co pani myślisz o mnie!

Zofia. To bardzo nietrudno. Ja się z myślami mojemi nie taję. Najprzód myślę, żeś pan niegrzeczny, raz dlatego, że wchodzisz ukradkiem, przestraszasz zamyślonych i bierzesz śmiało panienki za rękę, jak gdyby to było przyzwoicie. A powtóre... Zatrzymuje się i spuszcza oczy.

Stanisław. Cóż powtóre, droga panno Zofio!

Zofia niby z gniewem. Droga? otóż powtóre to, że pan mię nazywasz drogą panną Zofią, jak gdybyś miał do tego jakie prawo — wstydź się pan!

Stanisław składając ręce. Daruj mi pani, już tego nigdy nie zrobię.

Zofia łagodnie. Teraz już się za to nie gniewam. Ale nie rób pan tego nigdy, bo to nieładnie. Ale co po trzecie, oh! to nie tak łatwo panu przebaczę.

Stanisław. Jak mię pani przestraszasz? jakież to nieszczęśliwe po trzecie?

Zofia spuszczając oczy. Po trzecie? — Po trzecie to, żeś pan tak dawno nie był.

Stanisław chwyta jej rękę. O, droga pani! jakżem pani wdzięczny za to po trzecie. Całuje jej rękę.

Zofia odejmując rękę. Widzę doprawdy, żeś pan nie do poprawienia.

Stanisław. Ach, droga panno Zofio! ja czuję,

że z tego wykroczenia nigdy się nie poprawię, póki żyć będę. I jeżeli mi pani nie pozwolisz ciągle i głośno tak cię nazywać, to w myśli i w sercu nigdy pani inaczej nazywać nie będę. Pozwól pani!

Zofia. No, no, obaczymy potem. Teraz o sobie nie myślę, mam insze kłopoty na głowie. Ale kto to zajechał? obacz pan!

Stanisław. To mój wuj, któregom wyprzedził galopując ciągle. Ach! nie uwierzy pani, jak mi pilno było! mój koń cały spieniony.

Zofia. Ślicznie panu pilno było! a takeś pan dawno nie był. Grozi Powiedziałam panu, że to nie tak łatwo daruję.

Stanisław. W tym występku poprawię się pewnie, chociaż wymówki pani tak miłe, chociaż pani tak słodko karzesz. Ale co w tamtym, to przysięgam pani na wszystko, że nigdy.

Zofia patrząc nań miło. A jak ja na to nie pozwolę.

Stanisław. Choćbyś pani nie pozwoliła. Nigdy, nigdy, droga moja pani.

Zofia. Oh! jeszcze i moja! to już widzę, o panu niema żadnej nadziei — ale cicho, ktoś chrząka; ciszej przynajmniejże przy ludziach popraw się pan.

Stanisław. Na to zgoda, najdroższa panno Zofio!

Zofia. Teraz znowu najdroższa! doprawdy, że temu końca nie będzie. Odstępuje od niego, ruszając ramionami.

SCENA IV.

Ciż i Marszałek.

Marszał. Cóż to państwo pogniewaliście się z sobą?

Zofia. Wcale nie... chociaż prawdę powiedziawszy, byłoby się za co gniewać nietylko na pana Stanisława, ale i na pana, panie Marszałku.

Marszał. Doprawdy? jakżebym rad zasłużyć choć na gniew pani. Zawsze to lepsze niż obojętność.

Zofia na stronie. Otóż macie! już i ten coś zamyśla.

Marszał. Czemże to przewiniliśmy obaj z moim siostrzeńcem?

Zofia. Pan co innego. Pan masz urząd, masz gospodarstwo, masz zajęcie, to pana można jeszcze wyekskuzować. Tu pan Stanisław tylko winien.

Marszał. Czemże to, proszę pani?

Zofia. Tem, że tak dawno nie był — ale to się do pana nie stosuje.

Marszał. O! szczęśliwy chłopcze, jak ci zazdroszczę tego gniewu panny Zofii.

Zofia na stronie. No, to już niedarmo, obaczycie państwo.

Marszał. Czy pani co mówi?

Zofia. Mówię, że mama będzie bardzo rada z przybycia pana Marszałka. W ten moment dam jej znać. Odchodząc na stronie Starzy nudziarze! Czego im się chce, proszę! Wychodzi.

SCENA V.

Marszałek, Stanisław.

Marszał. Coś tu zaszło między wami.

Stanisław. O, kochany wuju! mnie się zdaje, że ona nie odrzuciłaby mojej prośby.

Marszał. Doprawdy? więc odważyłeś się i powiedziałeś jej? *Na stronie* Otóż to młodość! jak mu zazdroszczę!

Stanisław. Bynajmniej! ledwie kilka słów z nią mówiłem i to nie wiem, czy był w nich sens, bo mi nie dała nic powiedzieć. Ale ile miarkować mogę z jej słów, ile z wejrzenia wnieść można, zdaje mi się... Drogi wujciu! pomów z nią otwarcie, albo lepiej z matką.

Marszał. Z matką? o tobie? *Na stronie z westchnieniem* Na to może się zdobędę.

Stanisław. Więc przyrzekasz?

Marszał. Przyrzekać, nie przyrzekam — poczekamy dobrej zręczności.

Stanisław. Na co tu czekać, kochany wujaszku? ja pewny jestem, że panna Zofia mi sprzyja.

Marszał. Czemuż jej sam nie powiesz?

Stanisław. Wujaszek myśli, że to tak łatwo.

Marszał. Wiem, że niełatwo. *Na stronie* Zbieram się już dwa lata.

Stanisław. A do tego jeszcze z taką panienką, która w ten moment zbije z drogi. Tobie to jakoś snadniej, mój wuju.

Marszał. Dyabła tam snadniej — zapomnisz języka w gębie.

Stanisław. A co matce, to tem śmielej możesz powiedzieć, że pewny jesteś, mój wuju, jak pułkownikowa...

Marszał. Czego jestem pewny? Niczegom nie pewny; gdybym był pewny, tobym dawno mówił.

Stanisław. Jakto, dawno? o mnie, kochany wuju?

Marszał. Tak, naturalnie, że... ale cicho, otóż i ona!

SCENA VI.

Ciż, Pułkownikowa, Zofia.

Pułkown. Jak się masz, Marszałku? Jak się masz, panie Stanisławie? ładnież to tak, panowie sąsiedzi? już blizko trzy tygodnie, jakeście u mnie nie byli. Należało przynajmniej przysłać, dowiedzieć się choć przez ciekawość, czy jeszcze żyjemy.

Zofia. Już ja tu za to dobrze zmyłam głowę panu Stanisławowi.

Marszał. Nie uwierzysz pani, jak mię szczęśliwym robią te wymówki. Ale gdyby pani wiedziała, ile miałem przeszkód.

Pułkown. Wiem, że panowie zawsze macie tysiące przeszkód, kiedy wam się czego nie bardzo chce.

Zofia. Nieprawdaż, mamo? Urząd, gospodarstwo,

goście, korespondencya, czasem ból zębów lub ból krzyża, to są ważne przeszkody i dla nich trzeba wybaczyć — starym. Niech już mama daruje ten raz i marszałkowi. Dla młodych wszystkie te wymówki nie służą i kara za winę powinna nastąpić. Do pana to mowa, panie Stanisławie! za karę musisz pan ze mną pół godziny grać w wolanta. Bierze wolanta i daje Stanisławowi Chodź pan na galeryę! mama pozwoli? będziemy tu obok, jeżeli mama co każe. Chodźże pan! idzie ku drzwiom.

Stanisław idąc za nią. Co to za słodka kara, droga pani!

Zofia. Ciszej. Wychodzą.

SCENA VII.

Pułkownikowa, Marszałek.

Marszał. patrząc za nią. Jakie to miłe i czarujące dziecko.

Pułkown. Swywolna, a raczej samowolna. Zepsułam ją trochę. Ale serce ma najlepsze.

Marszał. A jednak złośliwa. Zrobiła mię starym.

Pułkown. Bo toześmy i nie młodzi, Marszałku. Ale siadajże, proszę cię.

Marszał. Nie tak bardzo dawne czasy mam przytomne.

Pułkown. O, nie zasmucaj mnie temi wspomnieniami. Ja ich nie lubię. Z nich wyglądają zmarszczki i siwizna.

Marszał. Pani żartuje. Czas nie zrobił w pani odmiany.

Pułkown. Czyż to ładnie, Marszałku, abyś ty, człowiek poważny i mój przyjaciel, mówił taką nieprawdę?

Marszał. Zasłużyłbym rzeczywiście na tę wymówkę, gdyby to była nieprawda w formie zimnego i niedorzecznego komplimentu. Ale pani wie, że to, co jeden widzi tak, drugi widzi inaczej, bo nie samem okiem patrzymy. Do tego zmysłu przyłącza się jeszcze coś stąd, z głębi naszej istoty. Jednemu pomaga imaginacya, drugiemu przeszkoda, nienawiść, trzeciemu zazdrość. A ja patrzę... zamilcza i spuszcza oczy.

Pułkown. A pan?

Marszał. żywiej. A ja, dobra pani, ja patrzę pamięcią — i dlatego nie widzę najmniejszej odmiany. Obecne mi są chwile szkolne...

Pułkown. przerywając. W rzeczy samej, panie Marszałku, co to za przeszkody miałeś, żeś nas tak dawno nie odwiedził? Powiedz, proszę cię. Może co nieprzyjemnego? Wiesz, jak mnie wszystko interesuje, co się tyczy moich przyjaciół.

Marszał. na stronie. Zawsze mię zbije z tropu. Głośno Dziękuję pani za to interesowanie się. Ale nic szczególnego mi się nie zdarzyło. Byłem tylko mocno zajęty z urzędu.

Pułkown. Więc moja córka miała racyą?

Marszał. W tem tylko nie miała racyi, że

mówiła z ironią, uważając to za przeszkodę wymyśloną, okazującą niechęć widzenia pań. O! do tego grzechu nie poczuwam się wcale. Owszem, gdybyś pani mogła...

Pułkown. znowu przerywając. Ale, ale! czy też to prawda, Marszałku, że prezesowa idzie za mąż?

Marszał. na stronie. Wyraźnie nie daje mi nic powiedzieć Głośno Prawda, że idzie i robi wielkie głupstwo.

Pułkown. Jak ja się cieszę, że tak myślisz, Marszałku, jak i ja; nieprawdaż, że to dowód wielkiego nierozumu, kobiecie starej wychodzić za młodego człowieka? To wstyd doprawdy!

Marszał. Właśnie dlatego nazwałem to głupstwem, że ona stara, a jej narzeczony młody. Ale nie idzie za tem, aby to prawidło było ogólne, aby powtórne związki, gdy się dobierze wiek stosowniejszy...

Pułkown. Zawsze, zawsze są nierozsądkiem i kroku takiego żaden pretekst nie usprawiedliwi. Prezesowa robi to niby dla dobra dzieci. Co za niedorzeczny pozór! któż temu uwierzy? nieprawdaż, Marszałku?

Marszał. W tem zdarzeniu ma pani racyą, ale kobieta jeszcze w kwiecie wieku, jeżeli sobie wybierze... Lokaj wchodzi i podaje list pułkownik. i odchodzi.

Pułkown. Ah! to od mojej dobrej Kamilli z Warszawy. Wybaczysz, Marszałku, mojej niecierpliwości. Rozpieczętowuje.

Marszał. Oh! zmiłuj się pani! na stronie Potrzebaż, żeby mi nawet Warszawa stanęła na przeszkodzie!

Pułkown. rozwija dwa duże półarkusze całe zapisane. A jaki długi! co to za poczciwa kobieta! Wie, że dla nas wieśniaczek to dobrodziejstwo, taki długi list z wielkiego miasta. Patrzy w list.

Marszał. na stronie. Mogła go była jedną pocztą później wyprawić.

Pułkown. powstaje. A jakie interesujące rzeczy! przepraszam cię, Marszałku, żè cię zostawię na moment. idzie do drzwi Zosiu, Zosiu!

SCENA VIII.

Ciż i Zofia wbiega zadyszana, z wolantem w ręku.

Zofia. Co mama każe?

Pułkown. Zabaw tu Marszałka przez chwilę. Pokazuje jej list. Od Kamili z Warszawy.

Zofia. Co ona pisze?

Pułkown. Otóż właśnie pójdę przeczytam, a ty tu zostań. Wychodzi.

SCENA IX.

Zofia, Marszałek.

Zofia na stronie. Wesoło bawić starego — a tam pan Stanisław czeka.

Marszał. Niemiły komis dała mama pani.

Zofia. Wcale nie — dlaczegoż pan Marszałek tak myśli?

Marszał. Pani wolałabyś grać w wolanta, a ja mam pani mówić o rzeczy bardzo seryo. na stronie Muszę już raz skończyć te męczarnie; tą drogą najpewniej.

Zofia na stronie. Masz tobie! możem się i dobrze domyśliła. Kładzie wolant.

Marszał. Co pani mówi?

Zofia. Nic — słucham pana.

Marszał. Niech pani będzie łaskawa siądzie i posłucha. Pani się trochę zmordowała, odpocznie sobie, a tymczasem powiem, co mi leży na sercu.

Zofia na stronie. A widzicie państwo? już i serce na półmisku! siada z determinowaną minką No, cóż mi pan powie?

Marszał. Już od półtora roku zbierałem się pani to powiedzieć. Ale pani byłaś jeszcze w takim wieku...

Zofia na stronie. Jasno jak na dłoni, do czego zmierza; nie klęskaż to?

Marszał. Pani mię nie słucha?

Zofia. I owszem, mów pan, mów, słucham pana.

Marszał. Pani jesteś jakaś roztargniona, a jabym rad, żebyś mię pani posłuchała z uwagą, bo tu idzie o szczęście mojego życia.

Zofia na stronie. Jego szczęście! a moje to niby nic. głośno Mów pan, słucham pana z uwagą.

SCENA X.

Ciż, Stanisław zagląda przez drzwi.

Stanisław. Wujaszku! wujaszku!

Marszał. Czego chcesz? — idź sobie, nie przeszkadzaj nam.

Stanisław. Nie zapomnij, drogi wuju, o com cię prosił! zmiłuj się, teraz właśnie masz zręczność! Oddala się.

SCENA XI.

Marszałek, Zofia.

Marszał. Dobrze! dobrze, idź sobie! na stronie Nawet tu przeszkody.

Zofia na stronie. Biedny pan Stanisław! głośno O co to pan Stanisław pana prosił?

Marszał. siada. To do rzeczy nie należy.

Zofia. Ale może to bardziej do rzeczy należy, niż to, co pan Marszałek miał mi mówić. To proszę zacząć od tamtego, kiedy właśnie teraz dobra zręczność.

Marszał. Nie, droga pani! moje główniejsze.

Zofia na stronie. Stary egoista! ale poczekaj, odpowiem ci! głośno, nadąsawszy się No, to mówże już pan!

Marszał. Byłbym już dawno pani objawił tę tajemnicę, szukał jej względów i łaski, ale, jak powiedziałem, jeszcze pani nie była w tym wieku, abyś mogła wysłuchać i pojąć historyę mego serca i moich uczuć.

Zofia na stronie. Zgadłam, nieszczęśliwa!

Marszał. Położenie moje takie i przekonanie, że muszę wprzód wiedzieć, czy pani na to zezwolisz, czy to, co ma stanowić najwyższe szczęście mojego życia, nie będzie się sprzeciwiać sercu i szczęściu pani, czy zechcesz być moją...

Zofia z mocą i wstaje. Nie chcę, nie chcę, nie zezwolę, to będzie przeciwne i memu sercu i memu szczęściu i wszystkiemu co się panu podoba. Proszę się nie zadziwiać, tu niema nic dziwnego, ja tylko mówię, że nie zezwalam i nie chcę; zdaje się, że ta odpowiedź jasna i nie obwinięta w bawełnę.

Marszał. zmięszany. Ależ pani nie wiesz jeszcze, o czem mam mówić.

Zofia. Wiem, domyślam się, i dziwię się, żebyś pan, któregom zawsze szanowała i kochała, mógł powziąść taką myśl, i mógł sobie ułożyć, aby mnie młodej dziewczynie, prawie dziecku, zawiązać świat i narzucać się ze swojem przywiązaniem takiem, jakiego ja od pana nie chcę i nie oczekiwałam. Wstydź się pan! Ja myślałam, że pan mię kochasz jak córkę, a panu uroiło się... Płacze.

Marszał. powstaje i bierze jej rękę. Ach, Zosiu droga! co tobie? skąd ci to mogło przyjść do głowy, co mi się ani śniło? Mylisz się, moje dziecię. Taka niedorzeczna chęć nigdy nie powstała w mojem sercu. Ja cię kocham, to prawda. Ale...

Zofia uradowana. Ale jak córkę? czy tak?

Marszał. Tak, tak, moja droga! i Bóg to widzi, jak bardzo.

Zofia. Więc w tem, co pan masz mówić, nie o mnie idzie?

Marszał. Nie, nie, nie o ciebie, moje życie.

Zofia. O! to co innego, teraz pana słucham z całą uwagą, całem sercem. przysuwa się No, mówże pan, co to tam leży na tem poczciwem sercu? Tylko jeszcze jedno! Proszę mię w całej tej rozmowie nie nazywać panną Zofią, ale tak, jak panu się teraz wymknęło niechcący, swoją drogą Zosią... dobrze?

Marszał. całuje jej rękę. Dobrze, moja Zosiuniu.

Zofia. Ot tak, to jeszcze lepiej. przysuwa się Mówże pan teraz.

Marszał. Daruj mi, droga Zosiuniu, że zacznę z daleka od mojej młodości, bo tam w tym szczęśliwym czasie zrodziło się to uczucie, o którem ci mam mówić.

Zofia. A cóż? to bardzo naturalnie. Ja to pojmuję, że takie uczucie w tym szczęśliwym wieku może się zrodzić.

Marszał. Miałem wówczas lat dziewiętnaście. Byłem jeszcze w szkołach, i tam zaprzyjaźniłem się z jednym kolegą, którego matka i siostra wówczas mieszkały z nim razem. Żyliśmy jak bracia, kochaliśmy się szczerze, serdecznie, uczyliśmy się razem, siedzieliśmy lat kilka obok siebie na jednej ławce szkolnej. Obaj pracowici i pilni, walczyliśmy z sobą tylko wtenczas, gdy

jeden drugiemu ustępował nagrodę przysądzoną obudwom.

Zofia. Jakie to musi być miłe wspomnienie dla pana! — i te związki nie ustały dotąd?

Marszał. Niestety, przerwała je śmierć przyjaciela. Zamyśla się.

Zofia. Ale niechno pan mówi dalej. Coś mi się zdaje, że tu i ta siostra będzie potrzebna.

Marszał. Zgadłaś, Zosiu! mój przyjaciel wprowadził mię do domu matki i zarekomendował swojej siostrze. Moje serce dawno już ją znało. Widywałem ją w kościele, na spacerach, i ta kształtna postać, te rysy śliczne i pełne wyrazu dobroci i rozumu, były już w mojej pamięci i powtarzały się w moich snach.

Zofia. Jak to dobrze być młodym? nieprawdaż, panie?

Marszał. z westchnieniem. Prawda, moje życie! czekają i ciebie te złote sny, które są rajem młodości. Ale i ty wzdychasz?

Zofia. Nie, nie, mówno pan! — Otóż, jakeś pan poznał tę siostrę twego przyjaciela...

Marszał. Byłem podwójnie szczęśliwym, bom poznał, że ona równie dobra, miła i rozumna, jak piękna. Wkrótce także postrzegłem, że lubiła ze mną rozmawiać, że czasem w grach naszych dawała mi pierwszeństwo, że nieraz mogłem dotknąć jej rączki, nie rozgniewawszy jej, i usłyszeć przyjazne słówko, kóre przenikało do głębi duszy. Tak wychodziłem często z ich mieszkania, gdzie

zostawało moje serce, i zanosiłem pokarm do marzeń na tydzień niewidzenia. Mieszkałem obok w sąsiednim domu. Moje kuzynki poznały się z nią i zaprzyjaźniły. Odtąd częściej ją widywałem i prawie codzień — i wówczas uczucie, które dotąd nie zwolniało ani na chwilę, ugruntowało się w mojej duszy.

Zofia. A onaż?

Marszał. Ona? O! mógłżem żądać wzajemności? mógłżem wynurzyć, co czuję, ja, student, chłopak dziewiętnastoletni i w porównaniu z nią ubogi? — Ona miała wówczas lat siedemnaście, była piękna, była bogata, i co tylko było dorosłej młodzieży, wszystko to starało się jej podobać... A przecież...

Zofia. A widzi pan, że jest przecież... bo to być nie może, żeby ona nie dostrzegła... co się działo w sercu pana.

Marszał. Ale mogłem się mylić — młodemu niewiele potrzeba, aby sobie wyroił wzajemność, lubo były zdarzenia drobne na pozór, które mię upoiły do reszty.

Zofia przysuwa się. O, powiedz pan!

Marszał. Raz na początku jesieni chciała koniecznie odwiedzić moje kuzynki, ale błoto było ogromne i choć dziedziniec nasz był niewielki, przejście było niepodobne. Moje okno wychodziło na ich podwórze, było prawie przy samej ziemi i blizkie drzwi jej bocznych. Często tam siadywałem i patrzyłem na te drzwi, przez które zwykle

wychodziła do nas. Raz tak siedząc zamyślony, posłyszałem, że ktoś stuka do mego okna. To była ona. Śmiała się i prosiła, abym ją wpuścił przez swój pokój, bo ma pilny interes, a przejść nie może.

Zofia. Ale co za śmiałość! możebym i ja tego nie zrobiła.

Marszał. Otworzyłem okno. Weszła zabłoconemi nóżkami na mój stolik i moje papiery, podała mi obie rączki, skoczyła na krzesło i dziękując za przysługę, słodko się uśmiechnęła i ścisnęła za rękę. Czuję dotąd ten uścisk pamiętny.

Zofia. A ileż to lat temu?

Marszał. Już temu lat ośmnaście.

Zofia kiwając główką. Proszę, jak to trwa długo! śmiejąc się Ale musiała panu wszystkie seksterna powalać?

Marszał. Mam je dotąd i chowam jak drogą pamiątkę. Jeszcze na nich niestarty ślad jej nóżek.

Zofia. Choć to ślad był zrobiony błotem, ale jednakowoż to rzecz doprawdy interesująca. A drugie zdarzenie?

Marszał. Boję się panią znudzić.

Zofia. Ale zmiłuj się pan! pan to tak żywo opowiadasz, widno, żeś to pan czuł tak mocno, że doprawdy mnie to szczerze zajmuje.

Marszał. Tejże samej zimy była raz do późna u moich kuzynek. Na dworze było ciepło, ale nadzwyczajnie ślizko. Gołoledź pokrywała ziemię. Gdy wyszła, odprowadzałem ją do dziedzińca do-

mu naszego; do ich podwórza były cztery schody kamienne, nierówne i także pokryte lodem. Ona bała się pośliznąć i oparła się mocno na mojem ramieniu. Ja objąłem ją wpół i tak wyniosłem na schody. Gdyśmy przyszli do jej drzwi, wziąłem jej obie ręce, tuliłem do ust i do serca. Tak staliśmy z minutę milcząc. Potem ona położyła swoją dłoń na moich ustach, szepnęła mi cicho: dobranoc, i uciekła. Zostałem tam oparty o ścianę — jak długo? nie wiem. Aż dopiero, gdy mię zimny dreszcz przejął, opamiętałem się i wróciłem do siebie. Schyla głowę i zamyśla się.

Zofia. A widzi pan, dobrzem mówiła, że to niepodobna, aby ona nie widziała, co pan czujesz. Ale cóż dalej, mój drogi panie?

Marszał. ściska jej rękę. Dziękuję ci, moja droga Zosiu, że to cię interesuje.

Zofia. Jakże mię to niema interesować? Ale cóż potem? bo to najciekawsze. Po takiem rozstaniu cóż ona?

Marszał. Ona? następującej wiosny wyjechała na zawsze z miasta, a w pół roku potem poszła za mąż.

Zofia. A to ładnie! co tego, tom się po niej nie spodziewała.

Marszał. Mogłoż być inaczej, moja dobra Zosiuniu? jam był młodzik, a ona dorosła panna; jam prawie hołysz, a ona była celem ubiegania się najpierwszej młodzieży. Wreszcie rodzice tego chcieli — była posłuszną, jak należy dobrej córce.

I Bóg nagrodził jej to posłuszeństwo, bo była szczęśliwa.

Zofia zasmucona. Wszystko to bardzo ładnie; ale jednakże... można było trochę zaczekać. — I potem już jej pan więcej nie widziałeś?

Marszał. I owszem, we dwa lata po jej ślubie, widziałem ją w Warszawie. Przyjęła mnie z uczuciem szczerej, wylanej przyjaźni, mówiła o swojem szczęściu domowem i zaprowadziwszy do swego pokoju, pokazała mi śliczną dziewczynkę ze złotymi włoskami, z różami na licach, z anielskim uśmiechem na kolorowych usteczkach. Dziecina spała w łóżeczku, a ona patrząc na nią, podała mi rękę i nie odjęła wzroku od swego skarbu, choć czuła, że łzy moje padały na jej dłonie. Więcej już jej nie widziałem w Warszawie.

Zofia. I koniec?

Marszał. Nie, moja dobra Zosiu. Czyżbym cię nudził taką długą historyą, gdyby tu już był koniec? W parę lat później przeniosłem się na Podole, gdzie mi Bóg dał dość ładny majątek po stryju bezdzietnym.

Zofia. I nie ożeniłeś się pan?

Marszał. Czyż nie wiesz, żem stary kawaler? Czyż nie myślałaś niedawno, żem ci chciał świat zawiązać?

Zofia. I to wszystko dla niej?

Marszał. Dla niej, moja droga. Nie byłem w stanie kłamać innej kobiecie, że ją kocham, kiedy kochałem tylko tę jedną, kiedy tylko jej

obraz był w myśli i w sercu. W dziesięć lat później dowiedziałem się, że owdowiała i przeniosła się do majątku swego na Wołyniu. Dziwna jakaś nadzieja wstąpiła do mego serca. Z półtora roku i więcej walczyłem jeszcze z sobą. Ale nareszcie uczucie silne, głębokie, jedyne, przemogło. Sprzodałem majątek na Podolu, kupiłem inny na Wołyniu, aby być bliżej, aby...

Zofia. Czekaj pan, czekaj pan! — O! teraz to już wiem wszystko! marszałek bierze jej rękę Wiem, wiem, doprawdy, że wiem. Słuchaj pan! Ta śliczna dziecina ze złotymi włoskami, z różami na licach, z anielskim uśmiechem, to ja, a ta niewdzięczna, to mama. A co? nieprawdaż? Trzepie rękami z radości.

Marszał. chwyta ją w objęcia. Prawda, prawda, mój aniołku!

Zofia. O jakżem szczęśliwa! jakże to dobrze — jakżeś pan miał śliczny rozum, żeś mi to wszystko powiedział!

Marszał. Więc nie gniewasz się za te uczucia? więc aprobujesz?

Zofia. Nietylko się nie gniewam, nietylko aprobuję, ale mówię panu, żem kontenta i szczęśliwa jak królowa. A wiesz pan dlaczego?

Marszał. Dlaczegoż to, moja droga?

Zofia. Dlatego, że ja już od roku ułożyłam sobie plan, wydać mamę za mąż, i łamię sobie głowę, za kogoby tu. A teraz mogęż znaleźć szlachetniejszego i bardziej kochającego męża dla

mamy a dla siebie lepszego ojczyma? Rzecz skończona, masz pan moją rękę i najzupełniejszą protekcyę.

Marszał. O! dziękuję ci, moje życie! Tego tylko chciałem, i zezwolenie twoje było mi równie potrzebne, jak zezwolenie twojej drogiej matki. Bo człowiek uczciwy, który ma być ojczymem dorosłych dzieci, jest w moich oczach występnym, jeżeli idzie przeciw ich woli i narzuca się gwałtem. A ty zezwalasz?

Zofia *poważnie.* Zezwalam, potwierdzam, aprobuję — i zaraz biorę się do dzieła.

Marszał. Powoli, powoli, mój drogi adwokacie! Jedna tu mała zachodzi przeszkoda.

Zofia. Jakaż?

Marszał. Czy mama zechce? — bom jej dotąd nie mówił ani słowa.

Zofia. O! ba! jeszcze czego? Nie bój się pan — już ja w tem! Dziś nawet, nimeś pan przyjechał, klektałam jej głowę, że musi pójść koniecznie za mąż. Bo powiedz pan, czy to mama taka stara? czy nie miła? czy nie śliczna?

Marszał. Dla mnie ona zawsze taką, jaką odprowadzałem do domu.

Zofia. A widzi pan? A przytem ja prędko pójdę także za mąż.

Marszał. Prędko?

Zofia. Tak jest, mogę pójść prędko, któż to wie? Ale dajmy na to, że prędko. Cóżby wtenczas mama robiła sama jedna? Nie, nie, niema o czem mówić! Jednej rzeczy tylko pojąć nie mogę.

Marszał. Czegoż to?

Zofia. Jak pan mogłeś wytrzymać, dwa lata już tu mieszkając, żeś dotąd mamie nie powiedział, że ją zawsze kochasz. Toż marudztwo, doprawdy!

Marszał. Bałem się, moje życie, nie śmiałem — i teraz jeszcze sam się nie ośmielę, i nic nie powiem, jeżeli ty tego nie zrobisz.

Zofia. Ja? Oho! obaczysz pan, mnie już świerzbi język i chciałabym, żeby to już było skończone, i z wielu względów. Najprzód dla mamy, bo któż drugi takby ją kochał? A potem...

Marszał. A potem co?

Zofia. Ale o tem później — pierwej mama!

Marszał. A potem ty, Zosiu?

Zofia zakrywa mu usta dłonią. Cicho! — Idźno pan teraz do mego pokoju i tam zaczekaj, a ja tu rozmówię się z mamą i potem pana zawołam. Bo tę rzecz trzeba zaraz skończyć. — Jużeś pan i tak marudził, wstydź się pan! obraca go do pokoju No, idź pan, idź!

Marszał. ściska ją. Droga moja swywolnico! Wychodzi.

SCENA XII.

Zofia sama. Eh! moja mamo! to takie rzeczy się święcą? dobrze — obaczymy, jak się teraz mama wykręci od moich argumentów? — Ale od czego tu zacząć? jako ambasador w tak ważnej sprawie powinnam dobrze pomyśleć. Zamyśla się.

SCENA XIII.

Zofia, Stanisław przy drzwiach.

Stanisław. Panno Zofio! Panno Zofio!

Zofia. Cóż tam? — idź pan sobie! Nie mam teraz czasu.

Stanisław. Droga pani! czy mój wuj mówił z panią?

Zofia. Ale mówił, i bardzo mówił — tylko mi pan teraz nie przeszkadzaj.

Stanisław. Więc pani zezwalasz?

Zofia. Ale naturalnie, że zezwalam — tylko żeś pan okrutnie nudny — mówię panu, idź pan sobie!

Stanisław przybliża się. O droga pani! jakżem szczęśliwy!

Zofia. Dlatego, że pan mię nudzisz? tupie nóżką Doprawdy, że się rozgniewam, jak mi pan nie dasz pokoju.

Stanisław. Boże mój! czyż pani już nie wiesz, że ja panią kocham?

Zofia. Dobrze, dobrze, może i wiem — ale teraz nie o tem rzecz. — Pierwej mama! Idź pan sobie z Bogiem!

Stanisław. Dajże mi pani choć rączkę pocałować.

Zofia podaje mu obie ręce. No, masz pan odczepnego i marsz! Stanisław wychodzi.

Zofia sama. Przecież zbyłam się natręta. A jak to on powiedział: ja panią kocham! jak gdyby nic. A ja z pośpiechu i nie rozgniewałam się za to i odpowiedziałam: dobrze, dobrze, wiem o tem! O, tożem się spisała! a później, żeby się od niego uwolnić, podobno go i za rękę ścisnęłam. Co to jest, nie mieć czasu! Ale odpłacę ja mu to później, jak będę swobodniejsza. A teraz wróćmy do naszej ambasady. Trzeba tu najprzód przygotować miejsce do konferencyi. stawia dwa krzesła. Od czego zacznę? Wiem, że mama będzie się wymawiać i skrupulizować! Eh! vogue la galère! może mi Pan Bóg natchnie dobry obrót, bo to pewnie dla jej szczęścia. biegnie do drzwi pokoju pułkownikowej. Mamo! Mamo! Proszę no mamy tu!

SCENA XV.

Zofia. Pułkownikowa.

Pułkown. wchodząc. Czego chcesz? Ale gdzież to Marszałek?

Zofia. Ha! zostawiłaś go mama ze mną na los szczęścia, znudził się i poszedł sobie.

Pułkown. Czyż ja tak długo byłam?

Zofia. Ale jak długo! tu tymczasem zaszły bardzo ważne wypadki, które mam sobie za obowiązek mamie zakomunikować.

Pułkown. Jakaś nowa swywola, już widzę z twojej poważnej miny.

Zofia. Bardzo przepraszam, to są rzeczy seryo,

moja mamo! poważne, jak moje teraźniejsze powołanie. Niechno mama będzie łaskawa usiądzie, pomówimy o tem.

Pułkown. siadając. O cóż to idzie? Ale jakież ty minki stroisz?

Zofia. A obaczy mama, że to potrzebne. siada A teraz, gdyśmy obie usiadły i nikt nam nie przeszkadza, niech mi mama raczy powiedzieć, czy to nie wkłada żadnego obowiązku na kobietę, jeżeli w młodości zatruje młodemu człowiekowi pokój, jeżeli, choćby nawet niewinnie i bez wiedzy, zagnieździ w jego sercu uczucie głębokie i jedyne, które on potem karmi wiecznie, dla którego wyrzeka się szczęścia całego życia i wszelkich innych związków? Cóż mi mama na to odpowie?

Pułkown. Ale do czegożto dąży, moja ty oratorko?

Zofia. Zaraz mama obaczy — tylko proszę o odpowiedź.

Pułkown. Naturalnie, że to wkłada na nią obowiązek wdzięczności — i żalu, jeżeli nawet niewinnie zatruła cudzy spokój.

Zofia. A widzi mama! A jeżeli jeszcze ta kobieta potem oddała rękę innemu, była żoną i matką, sama była szczęśliwą i wiedziała o tem dobrze, że jest ktoś, co przez nią cierpi, co usycha w życiu samotnem i bez pociechy — czyż nie winna mu tem bardziej wdzięczność i wynagrodzenie, jeżeli okoliczności postawiły ją w możności dopełnienia tego obowiązku?

Pułkown. Co się tobie stało, dziewczyno? *chce wstać* Co mnie tam te historye obchodzą?

Zofia *stanowczo.* Mamo, nie wstawaj! — ja doprawdy mówię seryo. Ta historya obchodzi cię więcej niż myślisz. *z mocą* Bo tą kobietą jesteś ty, mamo, a tym mężczyzną, który cię kochał i dotąd kocha, jest Marszałek. *Pułkownikowa zmięszana wstaje i chce odejść; Zofia biegnie za nią i zatrzymuje ją, i całując jej ręce, mówi z uczuciem.* Mamo droga! jedyna mamo! nie dręcz dłużej i siebie i jego! Ty wiesz dobrze, jak on cię kocha, ja widzę, że i w twojem serduszku jest coś, co za nim mówi.

Pułkown. Mylisz się, moja Zosiu! Nie moja wina, że człowiek dojrzały nie wyperswadował sobie tego, co sobie uroił młodzieniec. Ale ani dawniej, ani teraz nie dałam mu żadnego powodu.

Zofia. A, moja mamo! Czyż można tak mówić? Czyż do tego potrzeba wiele, aby się młodemu głowa zawróciła? Nie byłażeś piękną, nie byłaś miła i uprzejma? Już i to był powód dostateczny. A jeżeliś jeszcze okazywała mu wdzięczność za jego przyjaźń dla biednego wujcia, jeżeliś widywała go prawie codzień, lubiłaś z nim rozmawiać, w grach dawałaś mu pierwszeństwo; jeżeli jeszcze w czasie błota wchodziłaś przez jego pokój do jego kuzynek i walałaś mu wszystkie seksterna ślicznemi nóżkami, jeżeli dawałaś się odprowadzać do domu po gołoledzi i wynosić na schodki ślizkie i niebezpieczne, a potem, mówiąc mu cichutko

dobranoc, kładłaś dłoń na jego ustach i ściskałaś jego rękę — czyż nie były powody? czyż to nie mogło jeszcze bardziej rozmarzyć młodej głowy? i czy nie czujesz się obowiązaną teraz, kiedy możesz, kiedyś powinna nagrodzić mu za cierpienia całego życia? — Oj, mamo! mamo! tak się nie godzi, doprawdy!

Pułkown. Skądże ty to wszystko wiesz?

Zofia. Już skąd wiem, to wiem, to do rzeczy nie należy. Dość na tem, że zataić tego nie możesz, że i twoje serduszko czuło coś i wtenczas, żeś widziała dobrze jego przywiązanie i nie odstręczyła od siebie zimną obojętnością i nie wykurowała na zawsze; owszem, i potem w Warszawie, kiedyś mu pokazywała śpiącego aniołka ze złotymi włoskami i różami na licach, to jest mnie, czułaś to dobrze, jak łzy jego oblewały twoją rękę, którąś mu sama podała. A czyż to nic? czyż to nie dowodzi, że ci był miłym, i że teraz będziesz go kochać, tak jak on ciebie kocha, i zapewniwszy jego i swoje szczęście, zrobisz i mnie szczęśliwą? Bo ja ci to powiadam, moja droga mamo, że to dla mnie koniecznie potrzebne; że ja się nie uspokoję i nie zasnę, póki nie zobaczę radości i szczęścia na twojem czole.

Pułkown. wzruszona przyciska ją, a potem wskazuje na portret męża. Czyj to portret, Zosiu?

Zofia. O! to papa — nie zapomniałam i ja o tem. Ale czy myślisz, mamo, że on się za to rozgniewa? że ci nie pobłogosławi z niebios?... Kiedy mąż umierając prosi żony, aby nie szła drugi

raz za mąż, dlaczegoż to czyni? dlatego tylko, że się boi, aby dzieci jego nie zostały zaniedbane, aby nowi przybysze nie odebrali im serca matki, aby się nie sponiewierały, jak jakie sieroty. klęka Ale kiedy jedyne dziecię jego błaga cię o to... kiedy ci przysięga, moja mamo, że to do szczęścia tego dziecka koniecznie potrzebne, możeszże mieć jakie skrupuły? Pułkownikowa siada i zakrywa twarz chustką. A widzisz, droga mamo, serce twoje toż samo mówi. O! teraz już mi się nie wywiniesz. biegnie do drzwi swoich Chodź, chodź, Marszałku, zwyciężyliśmy! Tylko śmiało — nie marudź, dalej do nóg mamy — i rzecz skończona!

SCENA XVI.

Ciż i Marszałek.

Marszał. przystępując prędko, bierze rękę pułkownikowej. Droga pani! byćże to może, aby się ziściły marzenia mojej młodości?

Zofia. Ale co tam marzenia? tu niema marzeń, niema młodości. — Teraz siwe wąsy i prawda. Mama się wydała sama i cofnąć się nie może — tylkoż do nóg!

Marszał. klęka — pułkownikowa wpół ze łzami, wpół z uśmiechem podaje mu rękę, którą on całuje z uśmiechem i wesoło. O mój Boże! mój Boże, co się zemną dzieje?

SCENA XVII.

Ciż i Stanisław.

Stanisław który cicho wszedł, staje z boku i mówi na stronie. Aha! to tak wujaszek moje interesa robił.

Pułk. Patrzże drogi Marszałku, co ona z nami robi.

Zofia. Zapowiedziałam mamie, że com postanowiła, to zrobię.

Marszał. ściska ją. Moja jedyna Zosiu! nie będziesz tego żałowała. Przysięgam ci szczęście twojej matki.

Zofia. I to jest mój warunek pierwszy i ostatni. łączy ich ręce Dlatego tylko oddaję panu moją drogą mamę, aby była wesołą, szczęśliwą, abyś pan proch przed jej nogami zmiatał, jak na to zasługuje, aby żadna chmurka nie legła nigdy na tem jasnem i ślicznem czole. Rozumiesz pan? — teraz pocałuj pan tu! wskazując czoło matki No, łączcież się, kochajcie się, macie moje życzenia i moje błogosławieństwo.

Marszał. Dziękuję ci, mój aniołku! życzenia twoje spełnią się i błogosławieństwo twoje będzie skuteczne, bo serce twoje czyste i czułość dla matki jedyna.

Pułkown. Jeżeli będę szczęśliwą, o czem nie wątpię, jeżeli nie będę miała sobie nic do wyrzucenia, tobie to będę winna, moje dobre dziecię.

Zofia. Mnie, mnie, moja droga mamo! Ja ci to szczęście daję, i z mojej tylko ręki bez skrupułu i grzechu przyjąć je możesz. Podług mnie bowiem, każda wdowa, która ma dorosłą córkę, wtenczas tylko może sumiennie iść za mąż, jeżeli ją ta córka wyda. Inaczej postanowienie jej jest płochością, a jej szczęście występkiem.

Stanisław bierze za rękę Zofię. Panno Zofio! a my?...

Zofia. Zaczekaj pan, to potem! Pierwej mama!

Zasłona spada.

451—455. Heine, *Księga pieśni.*
454. Feliński, *Barbara Radziwiłłówna.*
455—456. Tołstoj, *Owoce oświaty.*
457—458. Schiller, *Wilhelm Tell.*
459—460. Słowacki, *Żmija — Lambro.*
461—465. Sudermann, *Kuma troska.*
466—468. Gorkij, *Wareńka Olesowa.*
469—470. Rossowski, *Obrazki familijne.*
471. Fredro, *Ciotunia.* Komedya.
472—473. Goethe, *Cierpienia młodego Wertera.*
[illegible]. Czechow, *Zbiór nowel t. II.*
[illegible]. Słowacki, *Król-Duch.*
[illegible]—478. Krasicki, *Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego.*
[illegible]—480. Ibsen, *Pani zamku Östrot.*
[illegible]1—483. Bolesławita, *Dziecię Starego miasta.*
[illegible]84. Korzeniowski, *Cyganie.*
[illegible]85—486. *Charakterystyki literackie:* XII.: Bohdan Zaleski przez Dra St. Zdziarskiego.
[illegible]87. Maupassant, *Nowele* t. II.
[illegible]88. Zola, *Powódź — Lilli.* Nowele.
[illegible]89—496. Rzewuski, *Pamiątki JPana Seweryna Soplicy.*
[illegible]97. Maupassant, *Nowele* t. III.
[illegible]98. Zola, *Atak na młyn.* Nowela.
499. Zola, *Jak ludzie umierają.* Nowele.
500. Syrokomla, *Córa Piastów.—Stare Wrota.* Poemat.
501. Zabłocki, *Sarmatyzm.* Komedya.
502—503. Pol, *Obrazy.* Opowiadania.
504. Rossowski, *Zuzanna w kąpieli.*
505. Dramaty japońskie, I. *Takeda Izumo,* Terakoya. II. *Yamada Kakashi,* Asagao.
506. Maeterlink, *Piękność wewnętrzna i Życie głębokie.*
507—508. Witwicki, *Gadu-Gadu.*
509. Verga, *Rycerskość wieśniacza* (Cavalleria rusticana). Dramat.
[illegible]0. Webersfeld, *Katechizm dla teatrów amatorskich.*
511. *Charakterystyki literackie:* XIII.: Jan Kasprowicz przez Adama Stodora.
512—513. Gorkij, *W stepie.* Nowele.
514. Krasinski, *Marya — Beatrice — Incomparabile Donna.* Poezye.
[illegible]. [illegible]bański, *Monologi satyryczne.*
[illegible]—517. Schiller, *Intryga i miłość.*
[illegible]. [illegible]echow, *Mewa.* Dramat.
519—520. Hauptmann, *Tkacze.* Dramat.
521—523. *Charakterystyki literackie: XIV.:* Mikołaj Rej z Nagłowic przez Dra M. Janika.
524. Bojko, *Zielnik.* Podręcznik dla zbierających rośliny.
525. Björnson, *Ponad siły*
526—527. Ibsen, *Związek młodzieży.*
528—530. Szajnocha, *Szkice historyczne.* VII.: Mściciel.
531—533. *Charakterystyki literackie:* XV. Józef Ignacy Kraszewski przez M. Mazanowskiego.
534. Zabłocki, *Fircyk w zalotach.*
535—540. Rościszewski, *Księga obyczajów towarzyskich.*
541. Hebbel. *Marya Magdalena.*
542—543. Kamiński, *Zabobon czyli Krakowiacy i Górale.*
544. Syrokomla, *Janko Cmentarnik.— Kęs chleba.*
545. Maeterlinck, *Joyzella.*
546—550. Rzewuski, *Listopad* t. I.
551—555. Rzewuski, *Listopad* t. II.
556—557. Heyermans, [illegible]
558. Starkmann, *Monologi humorystyczne* t. I.
559—560. Kochanowski, *Pieśni ksiąg czworo.*
561. Zieliński, *Kirgiz.* Powieść.
562—563. Bergström, *Piwowarzy.*
564. Starkman, *Monologi humorystyczne* t. II.
565. Gorkij, *Więzienie.*
566. Hamsun, *Włóczęga.*
567—570. Rościszewski, *Jak doskonalić samego siebie?*
571—573. Chodźko, *Obrazy litewskie.* IV. Brzeg Wilii.
574—580. D'Annunzio, *Dziecko rozkoszy.*
581—586. E. L., *Czy mówisz po rosyjsku?* Говоришь-ли ты по-русски?
587—592. Rościszewski, *Jak się bawić w towarzystwie?*
593—600. Jadwiga T., *Co i jak gotować?*
601. Baumbach, *Złotoróg.*
602—603. *Charakterystyki literackie:* XVI. Stanisław Wyspiański przez A. Mazanowskiego.
604. Daudet, *Nowelle* I.
605. Andersen, *Książka z obrazkami bez obrazków.*
606—610. Jokaj, *Złoty człowiek* t. I.
611—615. Jokaj, *Złoty człowiek* t. II.
616. Twain, *Humoreski* I.
617. Syrokomla, *Nocleg hetmański.*
618—619. Słowacki, *Sen srebrny Salomei.*
620. Poe, *Nowelle* I.
621. Orzeszkowa, *Meir Ezofowicz*

…2–623 *Charakterystyki literackie:* XVII.. Literatura polska syberyjska przez Dra M. Janika.
624. Mendes, *Nowelle.*
625–629. …antowicz, *Boje Polskie i przygody żołnierskie.*
630. Zola, *Nantas.* Nowela.
631–632. Korzeniowski, *Wąsy i Peruka.* Komedya.
633–637. Orzeszkowa, *Marta.* Powieść.
638–640. *Lis Mykita.* Poemat naśladowany z wzoru niemieckiego.
641. Zola, *Radykał.* Nowela.
642–643. Ibsen *Nora* czyli Dom lalki.
644. Czechow, *Zbiór Nowel* t. III.
645–646. Grabowski, *Z obczyzny.*
647. Słowacki, *Ksiądz Marek.*
648–650. Doyle, *Z przygód Sherlocka Holmesa.* T. I. Przekład z angielskiego.
651–652. *Charakterystyki literackie:* XVIII Seweryn Goszczyński przez M. Mazanowskiego.
653–658. Krasicki, *Pan Podstoli.*
659–660. Du Prel, *Spirytyzm.*
661. Zola, *Feta w Coqueville.*
662–663. Zimorowicz, *Sielanki.*
664–665. Ibsen, *Hedda Gabler.*
666. Muzajos, *Hero i Leander.*
667–669. Szekspir, *Hamlet* Królewicz duński.
670. Fredro, *Dożywocie.* Komedya.
671–672. Hebbel, *Judyta.* Tragedya.
673–677. Bojko, *Łacina w życiu codziennem.*
678–680. Szekspir, *Otello.*
681–684. Bolesławita, *Przed burzą.*
685–686. Ibsen, *Podpory społeczeństwa*
687–694. Homer, *Odysseja.*
695–696. Musset, *Podwójna miłość.*
697. Wilde, *Olbrzym samolub i inne opowiadania.*
698–700. Doyle, *Z przygód Sherlocka Holmesa.* T. II. Przekład z angielsk.
701–702. Siemieński, *Portrety literackie.* I. Obóz klasyków.
703–704. Zola, *Teresa Raquin.* Dramat.
705. Apulejusz, *Amor i Psyche.*
706. B., *Lawn Tennis.* Podręcznik dla grających.
707–708. Słowacki, *Beniowski.* Poemat.
709–710. Szekspir, *Kupiec Wenecki.*
711. Gorkij, *Poem…*
712–713. Hoffmann, *Panna Scudery.* — *Kopalnie faluńskie.*
714–715. Szekspir, *Makbet.*
716–720. Majerski, *Opis ziemi dawnej Polski.*
721. Maupassant, *Horla.* Nowela.
722–723. Fogl, *Pielęgnowanie kwiatów i roślin w mieszkaniach.*
724–725. Herczeg, *Kwiat na bagnisku.*
726–727. Chodźko, *Podania litewskie* S. I.
728–730. Szekspir, *Król Lir.* Traged…
731–736. Siemieński, *Wieczory pod … pą czyli Historya narodu Pols…*
737. Fredro, *Cudzoziemczyzna.* Kom…
738. Korzeniowski, *Majster i czelad…*
739–740. Libelt, *O miłości ojczyz…*
741. Fredro, *Nocleg w Apeninach.*
742–743. Ibsen, *Jan Gabryel Borkm…*
744. Ksawery, *Sport saneczkowy.*
745. Syrokomla, *Hrabia na Wątora…*
746–750. K. Z., *Co mam deklamowa…*
751–752. Ibsen, *Budowniczy Solness.*
753–760. Pasek, *Pamiętniki.*
761–766. Sulfczyński, *Zawsze oni* t. …
767–772. Sulfczyński, *Zawsze oni* t. …
773. Wazow, *Sławczo-Wojewoda.*
774. Zola, *Zgon Oliwiera Becaille.*
775. B., *Sport piłki.*
776–779. Wieland, *Oberon.* Poemat.
780. D'Aurevilly, *Tajemnice party wista* (z cyklu „*Les Diaboliques*").
781. Króliński, *Kusicielka.* Nowele.
782–784. Doyle, *Z przygód Sherlocka Holmesa.* T. III. Przekład z angielsk.
785. Słowacki, *Horsztyński.* Dramat.
786. Fredro, *Świeczka zgasła.* Komedya.
787–788. Gorkij, *Ostatni.* Dramat.
789–790. Heyermans, *Ghetto.* Dramat.
791–796. Jokai, *Kobieta z morskiemi oczyma.* Powieść.
797. Słowacki, *Beatryks Cenci.* Tragedya.
798–799. Jankowski, *W loży masońskiej.*
800. B., *Sport łyżwiarski.* Z 8 rycin.
801. Słowacki, *Złota Czaszka.*
802–803. Wergiliusz, *Georgiki.*
804–806. Kuncewicz, *Ustęp z „Gita-Govindy."* Powieść.
807–808. Dickens, *Szkice.*
809–810. Karjagin, *Konfucyusz.*

Dalsze tomiki w druku.